Nr. 33 Rok 5 Kraków, dnia 13 sierpnia 1944. 40 gr.

# Ilustrowany Kurier Polski



**PO PRACY**

Obraz olejny Ottona Hoyera

Fot: Eurofot

# TYGODNIK WOJENNY





Dwóch generałów niemiecki i węgierski omawiają plan akcji na wschodnim froncie.



Mussolini, generał Carloni i marszałek Graziani kroczą przed frontem włoskich dywizji.



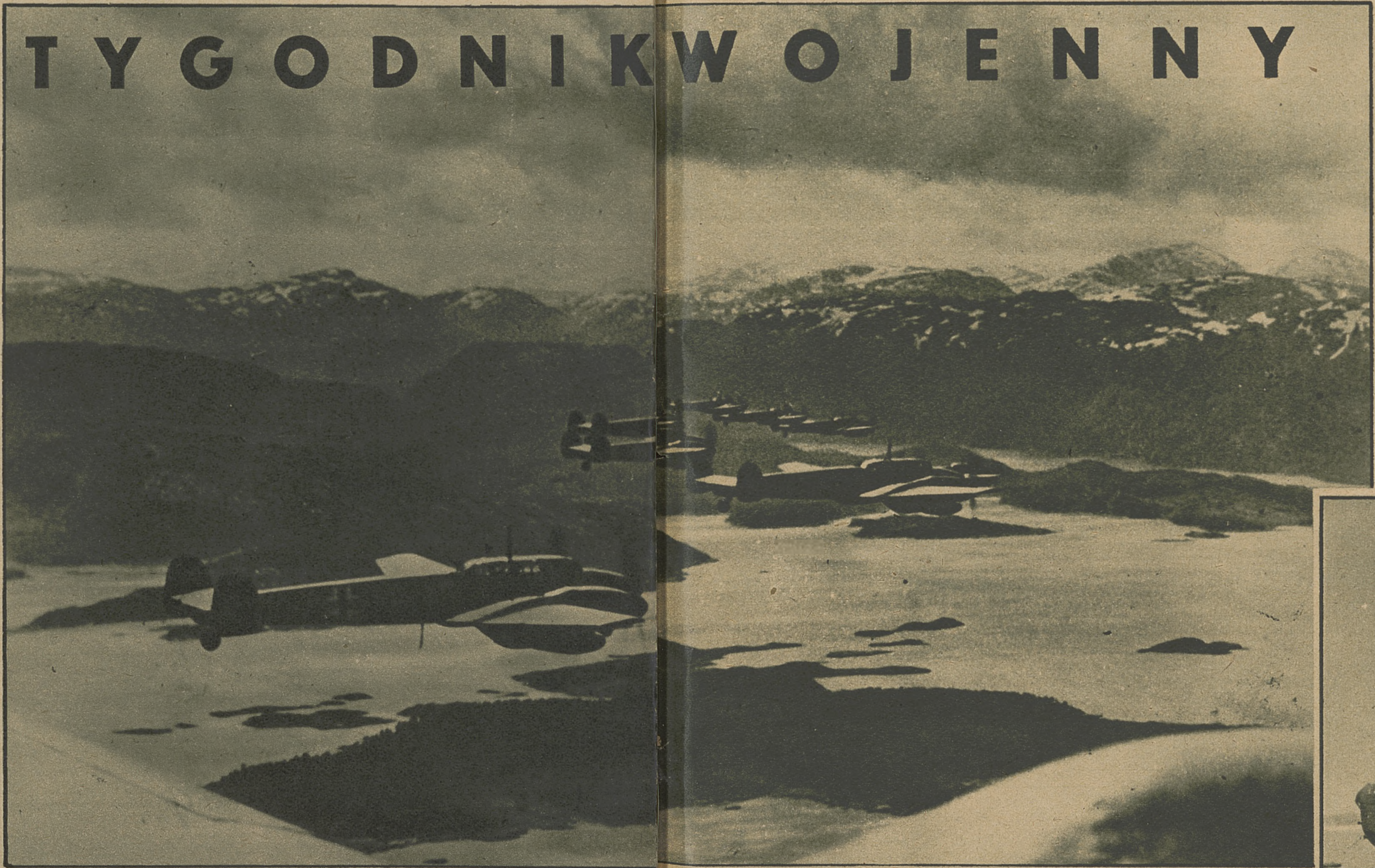
Fot: PK Hoffmann (2), Vennemann, Kessler, Hirschfelder-Sch, Hedenstrom, Collmer, Voigt-Atl, Hamann (2) - TO, Atlantik.

**U ŻOŁNIERZY WŁOSKICH**
Chorąży jednego z włoskich oddziałów, które walczą ramię przy ramieniu z wojskami niemieckimi pod dowództwem marszałka Graziani przeciw wspólnemu wrogowi.

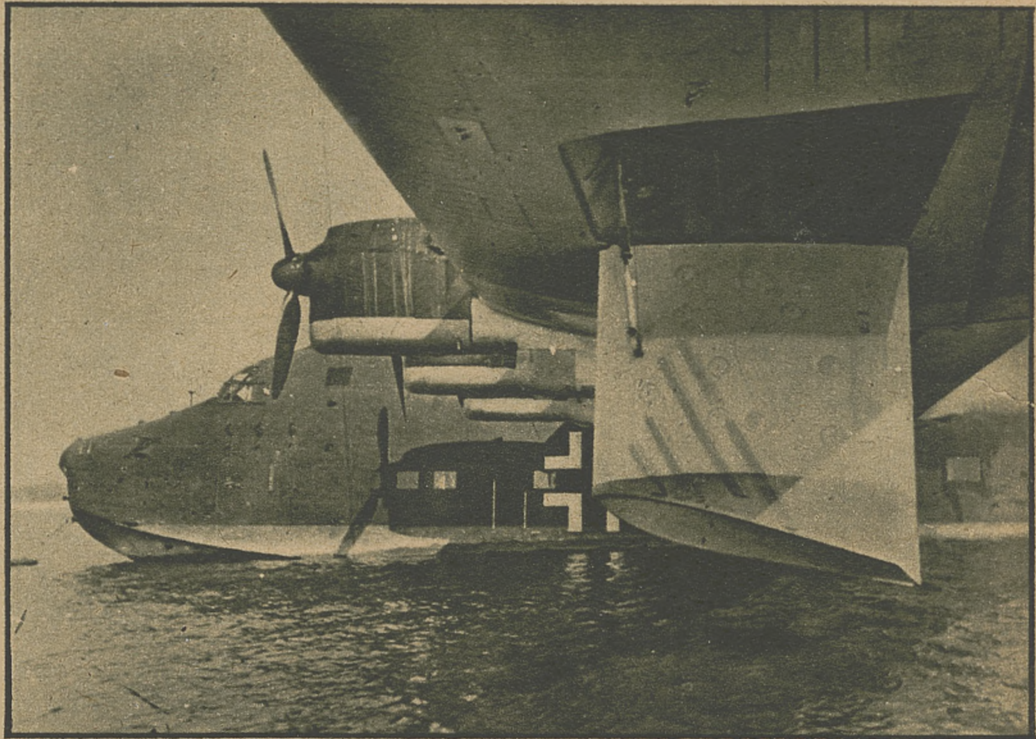


Powyżej:
**W NORMANDII**
Niemiecki patrol, ma za zadanie stwierdzić, czy w fabryce znajdują się wojska nieprzyjacielskie.

Na lewo:
**NA WSCHODZIE**
Niemieckie działo szturmowe sunie na linie sowieckie.







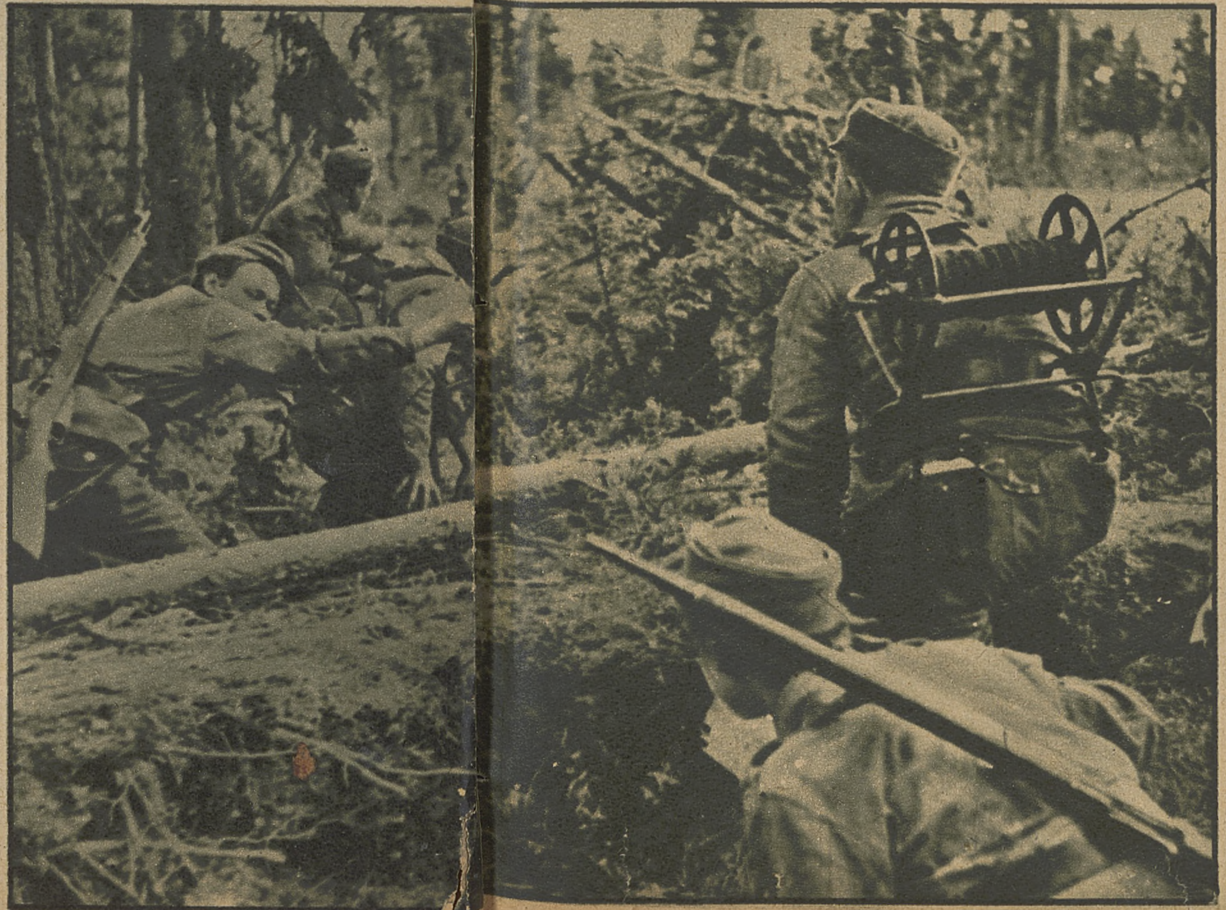
Powyżej:
**NA NORWESKIM WYBRZEŻU**
Niemieckie samoloty nad fiordem.



**Z FRONTU FIŃSKIEGO**
Na lewo u góry:
Fińscy żołnierze załadowują amunicję na czołgi przed wymarszem na front.

Na lewo:
Niemiecki generał wręcza fińskiemu oficerowi w uznaniu jego dzielności żelazny krzyż.

Na prawo:
Fiński oddział łączności zakłada przewody telefoniczne w lesie



**NA NIEMIECKIM HYDROPLANIE**
Powyżej na prawo:
Największy niemiecki hydroplan w porcie. Może on transportować ogromne ilości amunicji i broni

Na prawo:
Nawet kuchnia elektryczna dla obsady znajduje się na pokładzie tego hydroplanu.



# W KRAINIE LALEK





Na prawo:
Wśród licznych rzesz lalek — cudzoziemców — gwarzą sobie — nasze urocze Łowiczanki.



Obok:
Buńczuczny krakowiak stał w szafce na przedzie — oparły nosem o szybę.



Chińskie lalki uży-
wane do zabawy





Japońskie lalki w kostiumach narodowych.

Na prawo w kole:
Lalka w niemieckim stroju regionalnym.

Poniżej:
Andaluzyjska tancerka i hiszpański toreador.

Fot: Eurofot

Obok w kole:
Lalka wyobrażająca węgierską pannę młodą.



Powyżej:
Lalki miniaturowe z Boliwii.





Stare marionetki z wyspy Jaw

W blaskach południowego słoń-
ca, wśród zalesionych g-
Turyngii — leży miasto bawa-
skie Neustadt koło Coburga.

W swoich skromnych murac-
chowa ono bardzo ciekawe mu-
zeum, które pozwala nam zapo-
znać się ze wszystkimi nieoma-
regionalnymi strojami nie tylk-
samych Niemiec, lecz także —
że tak powiemy — całego świat-

Setki zgrabnych lalek —
twarzyczkach i główach mode-

lowanych na żywych wzorach czystych typów najrozmaitszych narodów — ubranych w odpowiedni strój regionalny, siedzi sobie na licznych półkach oszklonych szaf, patrząc — z właściwą lalkom melancholią — na rzesze zwiedzających.

Niewątpliwie wiele pracy i wytrwałości trzeba było włożyć w wykonanie tego dzieła.

Do skompletowania owego pięknego zbioru przyczyniły się, w dużej mierze, nawet znane osobistości różnych państw, do których zarząd muzeum wysyłał „gołe“ lalki z prośbą, by na miejscu ubrać je w kompletny strój skrojony według miejscowych wzorów, z oryginalnego materiału.

Ta drobna przysługa licznych osobistości przyczyniła się tym samym do podniesienia artystycznej wartości tego zbioru.

Ponad 1000 kostiumów, odtwarzających w najdrobniejszych szczegółach prawdziwe stroje, zapoznaje nas z ludami całego świata — ich ubiorem i życiem.



Na prawo:
Gliniana lalka z Chin.





Na prawo u dołu:
Drewniane lalki z półwyspu Korea.

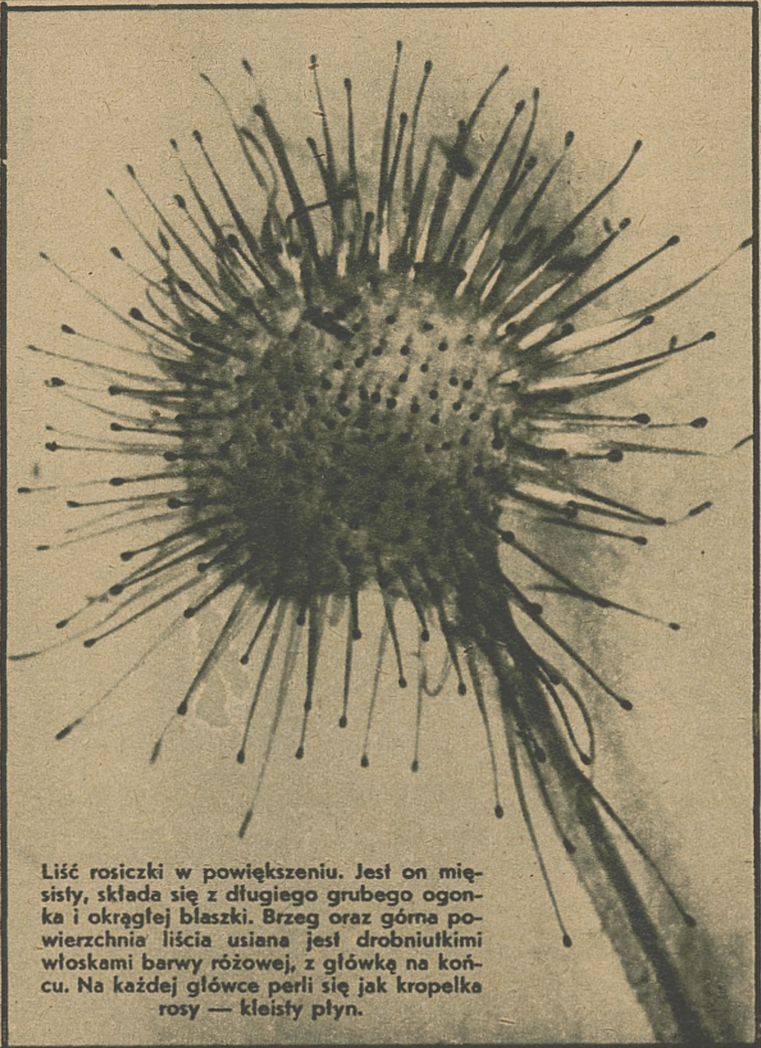


Poniżej:
Lalki przedstawiające parę młodą z wyspy Celebes.

# Żywa muchołapka



Na bezlistnej łodyżce rozkwita białe kwiecie rosiczki.



Liść rosiczki w powiększeniu. Jest on mięsisty, składa się z długiego grubego ogonka i okrągłej blaszki. Brzeg oraz górna powierzchnia liścia usiana jest drobniutkimi włoskami barwy różowej, z główką na końcu. Na każdej główce perli się jak kropelka rosy — kleisty płyn.



Owad zwabiony kleistą wydzieliną rosiczki przysiada na listku, by skosztować słodkiego — jak sądzi — nektaru.

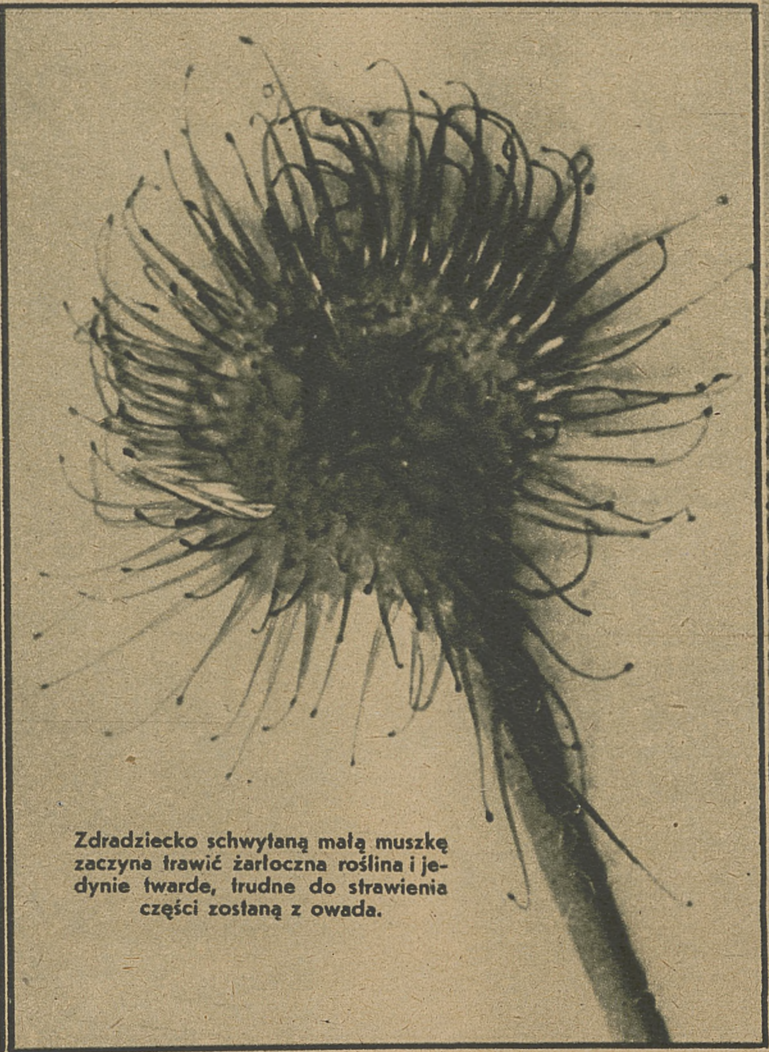
Fot: Dr. Schmidt-Schaumburg

Na słonecznych torfowiskach zakwita z końcem lata niezwykle ciekawa i dziwna roślinka. Spośród rozetki niedużych, kształtu owalnego, liści, rosnących tuż przy ziemi wznosi się wysoka łodyżka zakończona u góry białymi kwiatuszkami o zgrabnej pięciopłatkowej koronie. Na różowych włoskach obrastających liście perlą się łezki kleistego płynu jakby kropelki rosy, od których roślina ta otrzymała nazwę: rosiczka. Do czego ta rosa służy roślinie? Oto na listku usiadła jakaś muszka zwabiona błyszczącą zdradziecko, w promieniach słońca, rosą, biorąc ją za krople smacznego miodu. Biedna muszka przykleja się do listka. Chce się wyrwać, ale nie może. Szamoce się, ale to nie pomaga, gdyż włoski poirytowane ruchami owada wydzielają jeszcze więcej płynu kleistego. Nie dość tego, oto włoski wraz z liśćmi zaczynają się zaginać powoli ku owadowi i po kilku godzinach pokrywają go sobą zupełnie. Pod wpływem ruchów biednej muszki gruczołki znajdujące się na końcu włosków wydzielają coraz obficiej kleisty śluz, a wraz z nim i pewien kwaśny, trawiący płyn, który rozpuszcza pożywne cząstki ciała ofiary. Następnie wsiąkną one w liść i odżywią roślinę, a z wyssanej przez nią muchy zostanie jedynie skórka. Teraz włoski zaczynają się powoli odchylać, a wiatr porywa zeschłą skórkę i strąca ją z liścia. Listki wracają do normalnego położenia i wszystko jest po dawnemu, jakby nie zaszedł tu żaden dramat.

Rosiczka jest wytworem trudnych warunków istnienia na torfowiskach, gdzie grunt jest bardzo ubogi w cząstki odżywcze. Dlatego, by egzystować, musi rosiczka dokarmiać się owadami, choć właściwie żywi się ona przede wszystkim sokami wyciągniętymi z ziemi i gazami z powietrza. Niezwykle dziwnym i nieprawdopodobnym wydaje się nam fakt, iż istnieją i w pozornie niewinnym świecie roślin podstępne drapieżniki, żywiące się mięsem owadów. Przyzwyczailiśmy się bowiem do tego, że zazwyczaj rośliny same przez się nikomu nie wyrządzają żadnej krzywdy, a że zabijają one trucizną lub parzą włoskami, to dopiero wtedy, gdy muszą bronić się od napastników, chcących je zerwać lub zjeść. Owadożernych roślin, odkąd naturaliści zwrócili na nie uwagę, poznajemy coraz więcej, a pierwszeństwo wśród nich mają muchołówki, żywolisty, kapturnice, dzbaneczniki itp., oraz

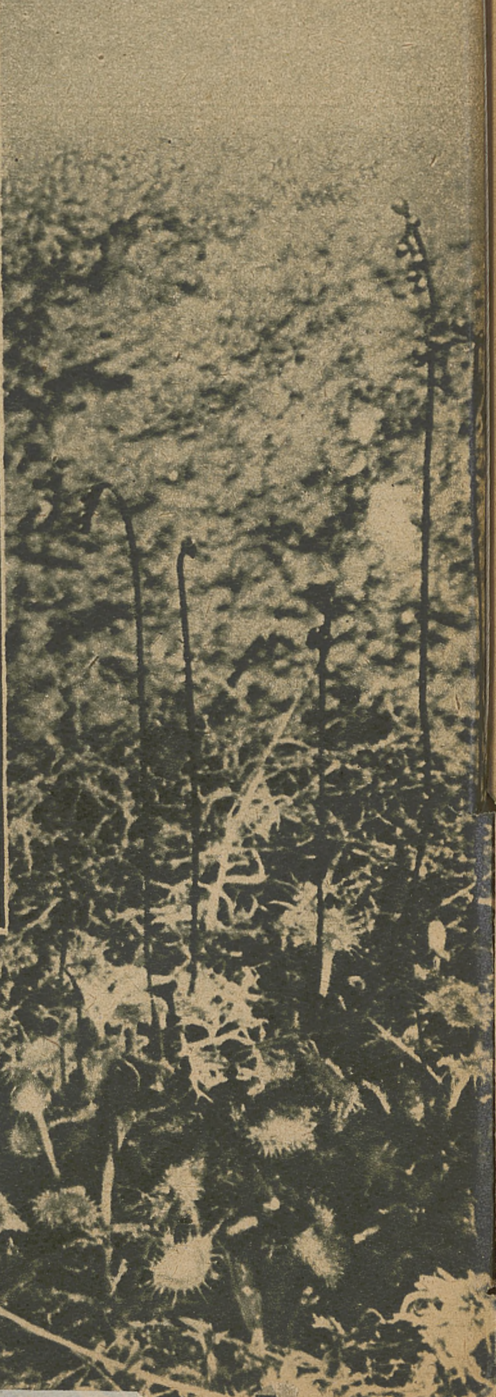


Jakież rozczarowanie spotyka małą muszkę! Oto nóżki jej grzęzną w lepkiej cieczy, a cały liść zwija się powoli nad ofiarą, aż w końcu pokryje ją zupełnie.



Zdradziecko schwytaną małą muszkę zaczyna trawić żarłoczna roślina i jedynie twarde, trudne do strawienia części zostaną z owada.

Poniżej:
Rosiczka rośnie na bagnach i torfowiskach. Rozmnaża się ona, tak jak i inne wyższe odmiany roślin, przy pomocy nasion.



KRYSTYNA WAJCHT-SALABURSKA

# ŚWIAT JEST INNY

SZKIC

*( ciąg dalszy*

— Tak, niestety, to ja!

Królicze oczy Teresy czerwienieją jeszcze bardziej napełniając się łzami.

Waha się chwilę i raptem rzuca się do rąk nauczycielki okrywając je pocałunkami:

— To ja! To ja! Ona kłamie! Tylko ja mogłabym pamiętać, tylko ja panią kocham!

Tłusta łepetyna przylepia się do spłaszczonej imitacji biustu nauczycielki.

— Drogie, drogie dziecię! Ja wiem, ja nie wątpiłam ani chwili, lecz cóż ty, Wrońska, bezczelna dziewczyno, hipokrytko!

— Tak, ja nie należę do uczennic skrzętnie notujących każdą rocznicę szkolną, wydających pieniądze na bukiety, wolę kupować sobie cukierki, nie myślę również uchodzić za taką. Chciałam tylko dowieść skromności Teresy i pokazać jak bardzo zależy jej na zachowaniu incognita.

Voilà, madmoïselles, quel potwór est assis avec nous!

Klasa zatrzęsła się śmiechem.

Panna Amelia ponsowieje z oburzenia:

— Jesteś złą, przewrotną dziewczyną! Ja ci... ja ci obniżę stopień z zachowania!

— Nie wiem, czy to się da zrobić, bo ja mam już trójkę z trzema minusami!

— Bezczelna! Chodź Teresko ze mną do pani dyrektorki!

Głośne trzaśnięcie drzwiami.

Z dwudziestudziewięciu nierozwiniętych klatek piersiowych wyrywa się okrzyk:

— Hip hip, hurra! Hip hip, hurra! Hip hip, hurra hurra!!! Niech żyje Wiśka!!!

— No, no, nie drzyjcie się tak! Sama wiem, że jestem genialna!

Nuna ściska z uznaniem pucołowatą łapkę Wiśki.

— Nie boisz się grandy?

— Nie bądź naiwna! Amelcia nie naskarży, to przede wszystkim ona była nietaktowna!

— Ach, Wisiu, jakaś ty mądra, sprytna, powinnaś być adwokatem!

Nuna nie wie jak uczcić Wiśkę, więc wyjmuje z teczki wspaniałego banana i wręcza go jej z uśmiechem.

Wiśka obiera go troskliwie i podchodzi do każdej z koleżanek:

— Ugryź kawałek, tylko nie za dużo!

— Tak! Wszystkie jadłyśmy banana!

— Fajna koleżanka z tej Wiśki!

Druga godzina — to łacina.

Do klasy wchodzi profesor, mały, zgarbiony, łysy, nieustannie mrugający oczyma i plujący z namaszczeniem w kraciatą chustkę.

Nuna wznosi błagalne oczy na krzyż:

— O dobry Panie Boże! Ty wszystko możesz, spraw, żeby nie było klasówki!

Profesor wkłada binokle, rozgląda się wokoło i mówi monotonnym, martwym jak łacina głosem:

— Napiszemy dziś sobie zadanie klasowe!

Nuna drętwieje... Żeby taki dobry Pan Bóg nie wpłynął na psorskie sumienie!

— Panienki otworzą książki i przetłumaczą Forum Romanum.

Ach, żeby teraz stało się coś strasznego!

Żeby tak krew poszła nosem, albo żeby dyrektorka przyszła z awanturą!

Tymczasem nie dzieje się nic.

Ewa flegmatycznie zaczyna tłumaczyć.

Profesor wielkimi krokami przemierza klasę polując niby srogi lew na białą owieczkę. Biała, niewinna owieczka toczy się wolno, wolniutko po podłodze...

Nuna schyla się i udając, że drapie nogę, podnosi ją i przyciska do szalejącego serca:

— Bądź błogosławiona, o zbawcza ściągo! — Wiśka i w tym wypadku była niezawodna!

„O cna koleżanko, cała w rozpaczy,
Zżynaj nie pytaj, co to wszystko znaczy,
Bowiem spisałam poniższe z bryka,
Więc pracuj szybko, bo czas umyka!"

Nuna łapie pióro.

Pisać można tylko wtedy, gdy buty psorskie skrzypią spiesząc do przodu klasy, natomiast gdy wracają, robi się poważną, zamyśloną minę i szuka uważnie słówka w słowniczku.

Błogosławiona szkolna hipokryzjo! Uczennica ze ściągą, to jak żołnierz ze zdobytym sztandarem! Z rozkoszą kończy ostatnie zdanie zadanego tekstu. Po strachu! Teraz nawet profesor wydaje się całkiem miłym człowiekiem. Kto wie, może i wśród profesorów zdarzają się czasem porządni ludzie?

Do następnej klasówki będzie spokój! Do tego czasu można trochę „pokuć".

Można — ale Nuna wie doskonale, że skończy na dobrych chęciach.

Czy jest coś bardziej rozpaczliwego, jak łacina, lub algebra? Poco się właściwie tego uczyć? Czy nie lepiej byłoby opanować jeszcze jeden język nowożytny? Do czego przydać się może łacina? Do medycyny? Na medycynie nie korzysta się z wiadomości szkolnych, trzeba znać najwyżej pierwszy i drugi przypadek, poza tym wykuwa się nazwy medyczne na pamięć.

Do prawa? Dla tych, co idą na prawo powinny być specjalne kursy, co za sens dla nich zadręczać młodą ludzkość?!

Bardzo źle rządzą światem dorośli! Trzeba będzie wszystko pozmieniać w przyszłości.

Nuna czuje się bardzo ważna w swej roli filozofa.

Jeżeli chodzi o przyszołść, to Nuna widzi ją jak na dłoni: będzie aktorką. Wszyscy jej mówią, że ma talent, wszyscy, to znaczy grono koleżanek i znajomych, którzy słyszeli ją deklamującą. Skończy szkołę dramatyczną i poświęci się wyłącznie scenie. Może zdobędzie sławę?

Żeby tylko wyładnieć do tego czasu! Żeby być choć troszkę podobną do mamusi!

Ach, scena! Cudne, zaczarowane życie!

Jak Nuna była malutką, marzyła, aby być cyrkówką, później zmieniła zamiary i postanowiła kupić karuzelę i jeździć z nią po kraju. Cóż to za przyjemność módz w każdej chwili huśtać się na własnej karuzeli, całkiem za darmo!

Praca właścicielki karuzeli mogłaby być niezmiernie zajmującą, ale jeszcze ciekawiej jest być aktorką! Ciągle jest się kimś innym żyjąc swoją rolą. Króluje się na scenie przyjmując hołdy tłumów!...

Żeby tylko nogi chciały wyzgrabnieć! Żeby nie były chude, jak dwa rozpaczliwe wykrzykniki!

Snuje się rozkoszną nicią marzenie...

Jak będę dorosła... Jak będę maturzystką!... Matura!!!

Nuna czuje, że jeżą się jej nieokreślonego koloru włosy na głowie.

Na dużej pauzie zbierają się w szkolnej łazience: Nuna, Wiśka, Baśka, Iza i Ewa.

Wiśka robi poważną minę i przemawia kręcąc w międzyczasie gałkę od kranu:

— Drogie koleżanki! Mam genialny pomysł! Przed tym, nim go wam wyłuszczę, chcę nadmienić kilka słów...

Żyjemy w dwudziestym wieku, w wieku wynalazków, mechanizacji, radia, postępu.

Zgodzicie się, że we wszystkich niemal krajach Europy zorganizowane są różne kluby: np. kluby dla matek karmiących, przyjaciół psów, kotów i innych... Słuszne to, bowiem człowiek, największe bydlę świata, lubi wygłupiać się w gromadzie! Cobyście zatem powiedziały, abyśmy i my utworzyły sobie klub?!

Cztery pary błyszczących oczu utkwiły w Wiśce...

— Co byśmy robiły?

— Jakie jego cele? — pytają, choć czują, że klub organizuje się nie tyle dla jakiegoś celu, ile dla samego jego istnienia.

— Będziemy wspólnie robić zgrywy, bawić się, smucić, jednym słowem, pójdziemy razem w dole i niedole szkolnego padołu.

Chcecie należeć do klubu? —

Kto by nie chciał?!

Ważne i ożywione dysputy zakładającego się klubu przerywa wchodząca bez pardonu woźna, z wielką miotłą w ręce.

— A to co takiego?! Ile was tu wlazło?!

Członkinie robią urażone i wyższe nad podobne drobnostki miny.

— No, wio stąd, bo pójdę do wychowawczyni!

— Niech Agnieszka się tak nie drze, nikt tu nie głuchy, wyjdziemy, jak przyjdzie nam na to ochota!

— Widzieliście coś takiego?! Wynosić się, smarkateria!

Powyższa „perswazja" poparta została gwałtownym ruchem, przy którym kurz posypał się z wielkiej miotły.

Pięć spiskowczyń znalazło się błyskawicznie na kory-
Wiśka poprawiała lekko zbakierowany kołnierzyk.
tarzu.

— Agnieszka zaczyna być bezczelną, ukrócę ją, jak mi się to znudzi! Przerwane tak niefortunnie posiedzenie skończymy we własnym lokalu.

— We własnym lokalu?!

Wiśka ma obojętną minę, ale widać, że strasznie jej przyjemnie imponować koleżankom.

— A tak! Wynajęłam pewne pomieszczenie, moim zdaniem wyśmienite. Bądźcie łaskawe spotkać się ze mną nad wieczorem, to pójdziemy tam razem.

Voyons drogie élèves, quel projet extra-ordinaire!

Pensez-vous quel atrakcja?!

Ach Wiśka! Wiśka jest genialna!!!

Dalsze lekcje wloką się jak glisty co wychodziły z małego szczeniaczka Nuny, zanim go rozszarpał wstrętny buldog z sąsiedniej kamienicy.

Pięć klubowych dam robiło wrażenie chorych na kręćka, cud, że ich szlachetne i więcej niż szlachetne, chude, sterczące kości nie powywiercały dziur w ławkach.

Jako zadatki na przyszłe kobiety skręcały się z ciekawości, która jest bliźniaczą siostrą kobiecości.

Wyobrażały sobie, że Wiśka podaruje im zaczarowany zamek na lokal klubowy.

Rzeczywistość przerosła najśmielsze marzenia.

Lokal mieścił się w suterenie spalonego podmiejskiego domku.

Szło się do niego blisko godzinę przez różnorodne płotki, druty kolczaste i inne udogodnienia, toteż członkinie przybyły w nieco obszarpanym stanie.

Do całkiem nieuszkodzonej suterenki (bo uszkodzeniem nie można nazwać lekko osmolonych z oddartym tynkiem ścian) schodziło się z rozwalonego parteru, bujnie porosłego trawą, po trzeszczących boleśnie, kulawych schodkach.

W „lokalu" pięć dużych kamieni zastępowało fotele klubowe.

Pierwszą zabezpieczającą czynnością było zamaskowanie wejścia.

Co chwilę rozlegały się okrzyki zachwytu dla mozolnej, odkrywczej pracy, której by się Kolumb nie powstydził! Znajdowało się coraz to inne skrytki.

Dziewczęta przejęte były wdzięcznością dla całego świata, a najwięcej dla straży ogniowej, która w natchnionym jasnowidzeniu, przybyła jak zwykle za późno na miejsce pożaru, robiąc w ten sposób cenny, i niczem nie zastąpiony podarek klubowi.

Ogólne zamieszanie przerwała Wiśka grzmiącym głosem:

— Spokój ferajna! Zająć miejsca! Witam zgromadzenie chlebem i solą!

Un moment silençe! S'il vous plaît!

Primo: jak nazwiemy klub?

Secundo: kto będzie pisał kronikę?

Możecie nie myśleć, trwałoby to zbyt długo!

Ja będę pisać kronikę, a klub nazwiemy:

„Klub — kopmy grób!

— Kopmy grób?

— Ależ Wiśka, to idiotyczne!

— Sama jesteś idiotka! Słuchajcie uważnie kretyniątka: Kopmy grób dla wszelkiej nudy i obłudy, dla łaciny, algebry i podobnych szpicli, jak Lizus- Teresa! A przy tym musi być grób, bo to jest rym do klub!

Kapé vous, mes amis ?

— Więc niech będzie grób!

— Niech będzie!

— A teraz wstańcie! Złożymy przysięgę!

Buzie ubrały się w poważny i iście grobowy wyraz, gdy w trwożnym skupieniu słuchały Wiśki.

— Treść tej roty
Mówię z własnej ochoty,
Jestem z wszystkiego zadowolona,
A do niczego nie przymuszona!
Pragnę z klubem ręka w rękę
Dzielić radość i udrękę,
Jak przystało mnie dziewicy
Dochowywać tajemnicy
I spełniać każde wezwanie,

## PRZYJAŹŃ

Fot. Dillan

Tekst: M. A. Hessel



Malutkie żółte kurczątko
wciąż przy swej pani jest blisko
i swoją głowinę wątłą
do książki otwartej wciska.
A dobra młoda gosposia
— choć bardzo uważnie czyta —
nie przegna ślicznego gościa,
który szczebiotem ją wita.



Gdy przyjaźń prawa nam daje
nakłada też obowiązki...
Gosposia je. Swym zwyczajem
kurczątko dzieli z nią kąski.
Puszysta i ciepła kula
swój dzióbek słaby i ufny
do ust człowieczych przytula
i skubie małe okruchy.



Po ciężkich znojach w ogrodzie
spoczywa młoda gosposia.
Drobiazg po głowie jej chodzi,
o zwykłe pieszczoty prosi
i w chustkę puka natrętnie...
A pani śmieje się cicho,
chociaż chciałaby najchętniej
całować uparte licho...



Po pracy zasnąć się zdarzy...
A żywe puszyste złoto
do śpiącej kobiecej twarzy
dzióbek przybliża z pieszczotą.
Szczebioce w nią najwyraźniej:
— Niech drzemka będzie przyjemna!!
Bądź pewna mojej przyjaźni
i — nie rozstawaj się ze mną!!

Nie narzekać nigdy na nie,
A jeśli zdradzę klub,
Niechaj pochłonie mnie grób!
Niechaj mi polip wkręci się do nosa,
Niechaj po gwoździach chodzę bosa,
Niech mi we włosach zalęgną się wszy,
Niech nigdy nie wiem co dobre sny!
Niech się nabawię solitera,
Niech męczy mnie koklusz i cholera.
I tu zebrane co rozum mamy
Na wszystkie groźby te przysięgamy!

— Przysięgamy!
— Przysięgamy!
— Jesteście prawowiernymi Kopgróbkami.
— Jak to jesteście, a ty?
— Ja też, rozumie się!
— Nuna marszczy brwi:
— Słuchaj Wiśka, ty jesteś bardzo morowa, ale nie chcemy żebyś się za bardzo rządziła.
— Ależ ma belle, równość, wolność i niepodległość! Władza ist nicht da!
— W porządku!
— Jest jeszcze jedna sprawa! Iza się pudruje!
— Iza! Nie wolno ci się pudrować!
— Co wam to przeszkadza?
— Kopgróbka musi być porządnym człowiekiem!
— Wybieraj: puder lub my?!
Cisza zaległa podziemie. Ważyły się losy Europy . . .
W końcu Iza wybrała:
— Zostanę z wami!
— Oddaj puderniczkę!
Z ciężkim, jak dziesięciokilowy odważnik westchnieniem, wyjęła małą lśniącą puderniczkę, która była jej dumą, wypieszczonym cackiem, najmilszą zabawką.
Porwała ją Wiśka pulchną, silną ręką.
— Na cześć pierwszej ofiary wydajmy okrzyk klubowy:
— Niech żyje klub Kopmy-Grób!!!
Z furią rzucona puderniczka rozbija się o brudną, szorstką ścianę, z mdlejącym brzękiem potłukło się lusterko na drobne, drobniutkie kawałeczki .
Baśka flegmatycznie chrupała coś w zębach, Iza skrycie ocierała łzy.
Nunie zrobiło się przykro, ostatecznie po co było tłuc puderniczkę?
Stało się!
— Nie warto dłużej myśleć!
— Musimy się złożyć na kasę klubową, macie forsę?
Posypały się pięćdziesięciogroszówki.
Nuna niedbale rzuciła pięć złotych. Wiadomo! Córka dyrektora!
— Mamy siedem złotych! Za dużo, żeby je wam ze wzgardą zwrócić, za mało, żeby coś z tego było!
— Jak która będzie przy forsie, to da przecież!
— No koniecznie!
— Co chcesz zrobić z tą flotą?
— Wydatków jest fura! Przede wszystkim zrobimy sobie zdjęcie!
Nuna spojrzała na zegarek: dochodziła siódma.
— Wiecie? już późno!
— Tak, trzeba skończyć!
— Następne zebranie wyznaczymy w szkole!
— Pamiętajcie: w budzie sitwa. Jak kto ma projekty, niech zaraz mówi, robić wszystko ostrożnie, żeby się nie wydało, nikt nie śmie wiedzieć, że mamy klub!
— Tak, lepiej od razu rozejdźmy się pojedyńczo!
— Żegnam was!
— Niech żyje klub Kop-Grób!!!
Zatrzeszczały zmaltretowane schodki i Kop-gróbki, napuszone jak pawice, odeszły w swoje życie prywatne.
W domu Nuna zastała rodziców grających w karty z panem Maksem i ciocią Martą.
Ciocia Marta, rodzona siostra mamusi, wcale zresztą do niej nie podobna, jest ginekologiem.
Jest dużo słów, których Nuna nie rozumie, ale czuje, że mówić ich nie wypada, do nich należy słowo: „ginekolog".
W zawsze przepełnionej pacjentkami poczekalni cioci, czai się coś tajemniczego, nieodgadniętego dla młodej dziewczynki.
Są rzeczy, o których mówią ludzie dorośli za szczelnie zamkniętymi drzwiami.
Istnieje zasłona dzieląca młody, a dorosły świat. Biada temu, co za wcześnie pragnie ją uchylić
Nuna odczuwa przed nią podświadomy lęk, wstyd, a zarazem chęć, aby już wreszcie wiedzieć!
Wiedzieć?
Nie wiadomo co!
Jest „coś" w ściszonej rozmowie starszych, w zamkniętej sypialni mamusi, w książce, w kinie i w gabinecie cioci Marty.
Nuna zawsze mówi:
— Moja ciocia jest doktorem.
Unikając słowa „ginekologia", omija przez ostrożność również „genealogię", to takie podobne do siebie!
Ciocia Marta jest brunetką o dużych, wesołych oczach, nie ma w sobie nic z aniołka, tak, jak mamusia, ale jest bardzo dobra i kochana.
W cioci Marcie jest również to dziwne „coś". Może dlatego, że ciocia ma kochanka. Tak, Nuna wie o tym na pewno! Słyszała kiedyś rozmowę rodziców.
Ciekawe, jak wygląda kochanek cioci Marty, czy jest choć troszkę podobny do Romea?
To bardzo romantyczne mieć kochanka, zamiast męża! Nuna jak dorośnie, też wybierze sobie kochanka! Może jakiego księcia?
Jeżeli chodzi o mażeństwo, Nuna postanawia wyjść tylko za fabrykanta czekolady, inni przemysłowcy i milionerzy nie mają u niej najmniejszych szans!
Dni płynęły Nunie pod znakiem „Kopgrobu". Dzielne członkinie systematycznie zmieniały oblicze zdziwionego świata, przewracając cały porządek do góry nogami, o ile tylko porządek ma nogi.
Zarobiły kilka „niedostatecznych", i ciągle uwagi skwaszonej wychowawczyni, która czyniła znak krzyża wchodząc do klasy, mniemając, że szatan opętał jej wychowanki.
Aż przyszedł dzień, który odegrał wielką rolę w życiu pięciu przyjaciółek. Dzień ten brutalnie zdarł tajemniczą zasłonę sprzed szeroko otwartych, dziewczęcych oczu i pokazał im życie! Stało to się na zebraniu klubu we własnym lokalu. Iza z bardzo smutną miną obwieściła zgromadzonym nowinę:
— Moja suczka się oszczeniła!
— Ależ to świetnie!
— Dasz mi pieska?! — zawołała z entuzjazmem Wiśka.
— Tak, małe szczeniaczki są rozkoszne, czemu się martwisz? — dorzuciła Nuna.
— T[illegible] nie chod[illegible] o szczeniaczki . . . Ja widziałam, [illegible] ona się szczeniła i moja służąca . . — tu głos przeszedł w szept: — moja służąca mi mówiła, że u ludzi tak samo, wiem już skąd biorą się dzieci! Rozumiecie? . . . u ludzi tak samo, jak u psów! U ludzi — jak u u psów!!!
Zaniosła się ostrym, histerycznym szlochem.
Przerażenie zawisło nad zgromadzeniem.
Baśka oderwała się na chwilę od bułki:
— Opowiedz-no dokładnie!
Niezdrowy rumieniec zabarwił twarze. Urywane słowa Izy wolno docierały do świadomości, powtarzały się biciem dygocących serc, wpijały się w umysł, paliły, jak rozżarzone węgle.
Wstydziły się same przed sobą, patrząc w ziemię wykręcały zlodowaciałe palce.
Nuna już wie ! ! !
Ogarnął ją straszny, dławiący wstręt do siebie, do mamusi w nocnej pidżamce żegnającej ją na noc i zamykającej drzwi swojej sypialni, do wszystkich małżeństw, do kochanej cioci Marty, do wszystkiego, do całego świata!
Świństwo! Wielkie świństwo!
Ciężkie milczenie przerywa Wiśka:
— Ja o tym coś nie coś wiedziałam!
Wiedziała?! I mogła z tym żyć?! I mogła się śmiać, kochać rodziców i bawić się wesoło?! Więc wiedziała i nie mówiła o tym nigdy ,nigdy?!
— To chyba nie jest znowu takie straszne. Niepotrzebnie robicie tragedię! Jeżeli tak urządził Pan Bóg, to widać tak musi być!
— Pan Bóg?!
— Szalona!
— To mógł wymyślić tylko szatan!
Baśka zabiera się na powrót do jedzenia.
— Spytam się mamy, będzie najlepiej! — mówi Ewa.
Nuna drętwieje na samą myśl, że i ona mogaby spytać mamusi! Nigdy! Nie przeszłoby jej to przez usta! Czuje się tak, jakby ktoś napluł na czczony przez nią ołtarz!
Mamusia!
Ta mamusia śliczna, jak aniołek z obrazka w dziecinnym pokoju!
Ta mamusia odarta nagle ze wszystkiego, rzucona na szeroki tapczan w tatusia pokoju!
Podłe to! Podłe!!!
Ach, iść gdzieś stąd!
Byle gdzie!
Nie wracać do domu, nie spojrzeć z tą okropną myślą w niebieskie mamusine oczy!
Umrzeć!
Zapaść się w nicość!
Zatracić świadomość!
Mijają długie minuty i odchodzą ciężkie odrętwiałe grozą . . .
Siedzieć tu dłużej nie ma po co, a iść też nie ma gdzie!
Bo przecież nie do domu!
Nie do domu, gdzie stoją szerokie tapczany, lub przykładnie zestawione małżeńskie łóżka!
Nie do domu!!!
Najlepiej rozumie się Iza z Nuną.
W ich oczach ściganych zwierzątek kryje się cała bezdenna rozpacz i obłędny strach.
Zaciskają się ich dłonie w gorszej nad wszystko złe niemocy.
Rozchodzą się, aby w samotności jątrzyć w sobie ból i wstręt.
Wieczór kładł się na ulice ponurym cieniem.
Kolorowe światła reklam rzucały fantastyczne blaski na asfalt.
Nuna poczuła się strasznie maleńką, zgubioną w wielkim, obcym tłumie . . .
Wpatrywała się tępo w twarze mijanych przechodniów z upartą, powtarzającą się myślą:
Czy i oni?
Czy i oni?!
Nie bawią nawet fotosy w gablotkach kin.
Uwielbiane, prężące się w męskich ramionach postacie aktorek mają w sobie coś ohydnego, odrażającego!
I one!
I one, jak głupia, mała suczka Izy!
Ale mogą wszyscy, wszyscy, tylko nie mamusia, tylko nie ta śliczna mamusia!
Budzi się nadzieja, że może to nieprawda?
Cóż wie taka Izy służąca?!
Nunie chce się krzyczeć:
— Powiedzcie, że to nieprawda!!!
Głos kona w krtani i Nuna idzie cicha wśród zgiełku miasta . . .
Zwierzyć można się chyba tylko cioci Marcie!
Siada w poczekalni, jak zwykła pacjentka, bo Nuna jest chora, bardzo chora na duszy.
Jest jeszcze tylko jedna, młoda pani.
Siedzi w fotelu i tak miło uśmiecha się do Nuny!
Pani jest zniekształcona, jak suczka Izy przed oszczenieniem — myśli Nuna i zdaje sobie nagle sprawę, że jest podła, że krzywdzi tę nieznaną, sympatyczną kobietę.
W drzwiach ukazuje się ciocia Marta w białym fartuchu:
— Proszę bardzo!
Pani podnosi się z fotela i idzie ciężkim krokiem.
Nuna czeka w dziwnym otępieniu i bezwładzie.
Jest jej przyjemnie siedzieć na miękkiej kanapie i czuć zamęt w głowie, chce, żeby jej nikt nie przeszkadzał.
Budzi ją z zamyślenia głos cioci:
— Co ty, Nuna, siedzisz w poczekalni?
— Ja do ciebie, ciociu!
Nuna jest wdzięczna ciotce, że nie uśmiecha się, nie drwi, ale bardzo poważnie prosi ją do gabinetu, siada za biurkiem i pyta miłym, niskim głosem:
— Co to za zmartwienie ,kochanie?
Nuna wydaje się sobie strasznie głupią, że do tego gabinetu lekarskiego, który widział tyle cierpień, przynosi zarzut przeciw mamusi, przeciw tej zniekształconej pani w poczekalni, przeciw powadze potwornych, lekarskich instrumentów, lśniących za szkłem szaf.
Ciocia Marta gładzi delikatnie, bezwładnie zwisającą na biurku rękę Nuny.
— No, śmiało! Co się stało?!
Nuna wybucha zduszonym szeptem:
— Powiedz mi skąd biorą się dzieci, ale prawdę, prawdę, bo ja wiem, ciociu ja wiem, ja rozumiem, ale dlaczego ludzie, jak psy, ludzie, jak głupie psy?!!!
Umilkła raptownie.
Spuściła nisko pałającą twarz.
Cisza kłuła w oczy, panosząc się w gabinecie.
Na biurku, w smukłym, kryształowym wazonie, zamarły przerażeniem kwiaty.
Ciocia zapaliła małą lampkę.
— Słuchaj, Nuno, czy ty lubisz kwiaty?
Nuna spojrzała zdziwionymi oczyma, co to ma do rzeczy?
— Lubię — bąknęła.

(Ciąg dalszy nastąpi)

*Chociaż noszę buciki z wysokim obcasem*
*chociaż jestem dorosłą i mówią mi „pani"*
*pozwól mi niby dziecku wyciągnąć się czasem*
*przed rozpalonym kominkiem na miękkim dywanie*

*i popatrzeć jak trzeszczą wesołe drewienka*
*jak płomyki czerwone tańczą, tańczą w piecu*
*i zanuć romantyczną, prześliczną piosenkę*
*albo mi bajkę opowiedz . . . jak dziecku*

*Że jest dobrze i pięknie i że nie ma bólu*
*że się ludzie sercami jak opłatkiem łamią*
*Twarz do twej ręki kochanej przytulę*
*i posłucham twej bajki i w świat pójdę za nią*

*Że każda dusza ludzka kwitnie wonnym kwiatem*
*że każde ludzkie oczy lśnią blaskiem radosnym*
*że słońce stale świeci nad szczęśliwym światem*
*Nad światem Zgody, Miłości i Wiosny*

*Że się bólem nie krzywią żadne ludzkie usta*
*że ze szczęścia czasami ludzie tylko płaczą*
*że w żadnym, żadnym sercu nie mieszka zimna*
*|pustka*
*opowiedz, ach opowiedz, że... wszystko jest inaczej*

*Bo choć dorosła jestem, powagę mam na twarzy*
*choć mam pracę i Ciebie i kłopotów masę*
*lubię tak przed kominkiem cichutko pomarzyć*
*i tak jak dziecko — bajki posłuchać lubię czasem*

*I wiesz . . . gdy tak cię słucham i wiesz kiedy tak leżę*
*jest mi tak dobrze, bo . . . zdaje mi się, że w te bajki*
*|wierzę . . .*

Krystyna Wodnicka

## *SEN NOCY LETNIEJ*

*Zmęczony dzień czerwcowy padł na łoże z traw —*
*|szmaragdowe,*
*westchnął z ulgą, owinął się mgłą — słońce podłożył*
*|pod głowę . . .*

*i wpatrzony w wieczorną zorzę, co powoli znika —*
*usnął słodko kołysany przecudnym trelem słowika.*

*A z wnętrza prastarych, chłodnych lasów, gdzie*
*|wieczny mrok drzemie —*
*noc upojna, drażniąca spłynęła cieniem na ziemię.*

*Rozwiesiła mgły . . . blaski księżyca nad światem*
*|rozsiała,*
*kwiaty spryskała rosą. . . gwiazdami szafir ubrała.*

*Królewicz sen — do mnie — z kwietnych kadzielnic*
*|spłynął woniami —*
*coś słodko szeptał do ucha i miękko ujął pod ramię.*

*Miał twoje usta i oczy . . . w słowach treść twoich*
*|dawnych marzeń,*
*rytm twego serca w piersi mu stukał . . . twój uśmiech*
*|miał na twarzy.*

*I uniósł mnie lekko w ramionach — — po mlecznej*
*|drodze prowadził,*
*jak obłok bujałam po niebie — wiatr moje włosy*
*|gładził.*

*A księżyc migotliwym srebrem mą postać otoczył . . .*
*gwiazdy mrugały do mnie zalotnie i zaglądały*
*|w oczy.*

*Wreszcie spłynęłam cicho . . . gdzie łan konwalii*
*|kwitnął biało,*
*gdzie rosy brylanty lśniły, paprocie liściem chwiały.*

*Z dala szumiało jezioro, ubrane w białe nenufary*
*w srebrze przestrzeni, w uroku chwili, noc rozścielała*
*|czary.*

— — — — — — — — — — —

*Lecz niedługo trwała bajka — spłoszył ją dzień*
*|promieniem świetlnym,*
*— jak twoja niestała miłość — prysł krótki sen nocy*
*|letniej.*

Janina Jagodzińska



# NAJWIERNIEJSZA

**IRENA GĘBSKA**

Była taka drobniutka, niepozorna, cicha, a jej srebrna głowa coraz niżej chyliła się ku ziemi. Każdy rok znaczył się na jej twarzy w drobniutkich zmarszczkach, a było ich już tyle, tyle tych lat ubiegłych, dobrych i złych. Ale nie skarżyła się nigdy i nigdy z ust jej nie znikał wyraz słodyczy i pogody. Była przecież... matką. Syn... W tym jednym słowie ześrodkowywał się cały ogrom jej miłości, cały cel jej życia. I choć studiował już politechnikę dla niej był zawsze dzieckiem, potrzebującym opieki i rady. W bezsennych, nocnych godzinach, naprawiała jego duże ubranie z tą samą czułością z jaką cerowała niegdyś małe, rozdarte porcięta swego czupurnego chłopczyka. Z jednakową tęsknotą czekała na powrót jego ze studiów, jak niegdyś na powrót malca ze szkółki.

I wreszcie przyjechał na wakacje, na ostatnie wakacje przed egzaminami. A razem z nim przyjechała... ona. Mieli się pobrać za rok, gdy Adam dostanie dyplom inżyniera, a teraz przywiózł ją, by poznała się z matką. Była wysoka, zgrabna, o błękitnych oczach, lśniących uśmiechem młodości i ślicznych rączkach eleganckiej panienki. Rozjaśnił się, poweselał cały dom, rozdźwięczały się piosenką kąty. Miłością do syna zdobyła sobie serce matki. A Adama kochała szczerze, pierwszym, gorącym uczuciem. Każdą godzinę, każdą minutę spędzali razem na wycieczkach, zabawach, sportach.

Był cudny, skąpany w rosie poranek gdy wybrali się na najwyższy szczyt gór. Poszli sami z jednym tylko przewodnikiem. Dzwonił po halach ich śmiech beztroski, tuliły się spojrzeniem oczy, pełne słońca i kochania. Pięli się coraz wyżej i wyżej, uwieszeni na linie wśród szarych, śmigających w niebo skał. Sportowa koszulka Adama odcinała się jasną bielą od błękitu nieba, a jego siwe oczy biegły za wysoką, zwinną postacią Krysi. Obok, na prawo kilka szarotek tuliło swe miękkie, aksamitne płatki do nagich głazów. Adam podciągnął się na rękach i podpełznął do nich, chwytając się wystających kamieni.

— Mam szarotki! Dla ciebie, Krysiu.

Linka wyprężyła się i poderwała go w górę. Przewodnik odwrócił głowę.

— Hej, nie zbaczać mi tam na prawo! Tam przepaść, z której nikt jeszcze nie wrócił. Uważać, ostrożnie!

Słońce przewędrowało już połowę nieba gdy stanęli na szczycie. Zachwyconymi oczyma objęli wierzchołki drzew, chwiejące się gdzieś tam daleko, w dole, srebrne pasemka strumieni, chaty, maleńkie jak jasne punkciki na tle zieleni. Wiatr wichrzył włosy i targał ubranie, słońce całowało twarze gorącymi blaskami. I tylko przewodnik z flegmatycznym spokojem zajadał chleb i suchą kiełbasę.

Było coraz goręcej i parniej, gdzieś z kątów nieba zwolna wypełzały przyczajone chmurki. Przewodnik zaczął pakować plecaki i przynaglał do pośpiechu.

— Prędzej, prędzej, byle nas tylko burza w górze nie złapała, bo ciężko będzie wracać.

Nagły, gwałtowny wiatr wyskoczył gdzieś zza skalnych zrębów i rzucił kłęby czarnych chmur w słońce. Grzmot głośnym echem potoczył się po górach. W zaległych ciemnościach, szczękając zębami pod ulewą deszczu posuwali się krok za krokiem, zgrabiałymi palcami chwytając się kamieni. I nagle linka przytrzymująca Adama zaczepiła się o jakiś ostry głaz i pękła. W świetle błyskawicy ciemna sylwetka ludzka zachwiała się i runęła w przepaść. Krzyk urwany, straszny krzyk rozpaczy zginął w ryku piorunu. I zaraz potem drugi, przejmujący krzyk kobiecy.

— Adam! Adam!

Rzuciła się naprzód, lecz przytrzymały ją silne ręce przewodnika. Zaczęła się rozpaczliwa szarpanina w ciemnościach, na skale, wiszącej nad przepaścią.

— Ja muszę do niego! Puśćcie mnie! Ja muszę tam! Adam... Adam!...

— Nie, pani musi ze mną, w dolinę. Weźmiemy pomoc. Może go jeszcze znajdziemy.

Pomoc... Uczepiła się tej myśli ostatnim promykiem nadziei i jak szalona zsuwała się w dół, kalecząc dłonie na twardych, ostrych kamieniach. Na dole, we wsi znalazła przewodników w knajpie, zapijających burzę i przymusowy odpoczynek. Na jej błagania i zaklęcia wybuchnęli śmiechem.

— Teraz? W nocy?! W burzę?!... Czy pani zwariowała? Nie ma głupich!

Obiecywała wynagrodzenie, płakała, chwytała ich twarde, sękate ręce w swe delikatne dłonie. Wreszcie jeden krzyknął.

— Nu, postaw pani kolejkę. Będziem jeszcze gadać.

Zamówiła wódkę i piła razem z nimi, drżąc z podniecenia, rozpaczy i nadziei. W oparach cuchnącego dymu i alkoholu ogarniał ją dziki, nieprzezwyciężony wstręt do tych czerwonych, pijackich twarzy i spotniałych łap, chwytających jej sukienkę. A jednak walczyła z sobą zagryzając do krwi usta, bo przecież ci ludzie mogli pomóc Adamowi, znaleźć go wyciągnąć.

Wytoczyli się wreszcie z knajpy wśród wrzasku, śmiechu i przekleństw w noc i burzę. Biegła przed nimi zachęcając do pośpiechu, ciągnęła za ich brudne rękawy, wskazywała drogę. Ale po kilkunastu krokach zrezygnowali z dalszej wędrówki, wyśmiali jej naiwność i zawrócili do knajpy. Pobiegła jeszcze sama przed siebie, lecz w głowie jej szumiało i nogi odmawiały posłuszeństwa Upadła i przylgnęła do błota ze szlochem, krzycząc coraz głośniej: Adam!... Adam!.. Aż wreszcie imię jego wplątało się w huk grzmotów i nie czuła już ani ulewy, ani wichru, ani oślepiającego blasku błyskawic...

Adama nie znaleziono. Poszukiwania nie dały żadnego rezultatu. Widocznie przygniótł go jakiś głaz, spadający za nim. Umilkł śpiew i wesoły głosik Krysi — płakała i rozpaczała całymi dniami. Nie chciała już wrócić na studia, do miasta, bogatej rodziny i młodzieży, zamieszkała u jego matki, której cichy smutek koił jej ból. Bo z ust staruszki nikt nigdy nie usłyszał skargi, ni żalów. Tylko jej srebrna głowa jeszcze niżej pochyliła się ku ziemi, a drżące okolone cierpieniem wargi poruszały się często bezgłośnym szeptem: Synku mój... synku... Obie kobiety zjednoczył ból i wspomnienie, zżyły się z sobą, zrozumiały i pokochały. Gdy w jasne, letnie noce księżyc zaglądał pod drzewa i szeptał cichutko o miłości, Krysia łkała rozpaczliwie, gryząc palce do krwi. I dziwił się może promień księżycowy dlaczego ta młoda dziewczyna płacze tak żałośnie... A potem wędrował dalej, po ścianie obrosłej dzikim winem, zaglądał do drugiego okna i jasną plamą kładł się na siwej głowie staruszki. Rozsrebrzał łzy w głębokich bruzdach jej twarzy i oczy wyblakłe, wpatrzone w obraz Tej, która cierpiała najwięcej ze wszystkich matek... I widział w tej starej, pomarszczonej twarzy okrutną skargę i boleść, samotność taką straszną, ciężką, bez celu... i cichą rezygnację... I patrzył przez chwilę zadumany, a potem płynął dalej — samotny... jak i ona...

Mijały dni, miesiące, lata, a w cichym domku nie zmieniło się nic. Może tylko więcej jeszcze pochyliła się głowa i ramiona staruszki i bardziej spoważniały błękitne oczy dorosłej już Krysi.

Pewnego ranka, gdy jesień białe nitki zaplątywała na drzewach zapukał ktoś do drzwi. Był to góral z pobliskiej wioski. Znalazł wśród skał przywaloną kamieniami legitymację studencką Adama i przyniósł, bo mu mówiono, że to z tego domu. Krysia porwała stary, zżółkły papier i wpiła się wzrokiem w zniszczoną już fotografię. Adam... Ta sama twarz młoda i męska, ten sam uśmiech, taki przedziwnie chłopięcy i kochany... Zaniosła się spazmatycznym szlochem i krzycząc biegała po pokoju.

— Adam!... Adam!...

Wreszcie krzyk przeszedł w śmiech jakiś straszny, szaleńczy śmiech, aż łzy popłynęły po twarzy, a zęby szczękały jak w febrze. A potem nie czuła już nic...

Przyszły dni ciche, spokojne, jednakowe, kojące duszę jak balsam. Krysia leżała w górskim sanatorium dla nerwowo chorych, obojętna i apatyczna. Ciche, białe postacie pielęgniarek, stoliczek z lekarstwami, bukiet kwiatów w wazonie i dobra, poważna twarz doktora Żwira — codziennie to samo. Krysia zżyła się z tym, wtuliła znękaną duszę w ten łagodzący spokój. Doktór Żwir, kierownik sanatorium, otaczał ją szczególną opieką. Widocznie postanowił sobie przywołać do życia tę szczupłą, bezradną postać, przywrócić blask błękitnym, smutnym oczom. Późnymi wieczorami przychodził do niej na werandę i przysuwał sobie niski fotel do jej leżaka. Patrzyła na jego twarz, słabo zarysowaną w mroku, o szerokim, wypukłym czole, stanowczym podbródku i szarych, przenikliwych oczach — i czuła się dziwnie bezpieczna i spokojna.

— Panno Krysiu, nie można uciekać od życia, to po prostu tchórzostwo i przestępstwo. Gdyby pani zajrzała w dusze miliona nieszczęśliwych, w oszalałe bólem oczy sierot, kalek i opuszczonych, gdyby potrafiła pani zliczyć łzy, wylane w bezdennej męce, wtedy dopiero może zrozumiałaby pani cały ogrom ludzkiego cierpienia. Nie można zasklepiać się we własnym bólu, który wydaje się nam zawsze największą krzywdą, trzeba zapomnieć o sobie, pomyśleć o tych, którzy cierpią nieraz stokroć gorzej, a nie mają siły podnieść się i dźwignąć. Trzeba wyjść ku nim z pomocną dłonią, podeprzeć, wskazać im słońce zza chmur. I wtedy własne smutki wydają się także małe i nieważne, wobec całej nędzy ogromnego świata... Tylko trzeba koniecznie chcieć i spróbować. A ja wierzę, że pani spróbuje...

Pochylił twarz ku jej oczom, zapatrzonym w dalekie, ciemne szczyty gór i dodał ciepło:

— Pomogę pani...

Gdy już czuła się zupełnie dobrze i chodziła po całym sanatorium zastała raz doktora w szpitaliku dziecinnym nad łóżeczkiem małego chłopca. Dziecko to, niezwykle nerwowe podczas gorączki pozdzierało bandaże i teraz krzyczało i bredziło okropnie. Doktór był sam i po raz pierwszy zobaczyła w jego oczach zdenerwowanie i niepokój. Bezszelestnie jak duch zaczęła mu podawać wszystkie żądane przedmioty, gazę, jodynę, dermatol... Po małej dawce pyramidonu gorączka spadła i dzieciak usnął. Doktór otarł czoło i wtedy dopiero ujrzał ją. Patrzył na nią przez chwilę w milczeniu, a potem rzekł nagle jakby pod wpływem jakiejś niespodziewanej myśli.

— Pani zostanie już tutaj, z nami, jako moja asystentka. Tak, wiem, że pani zostanie i da moim biednym chorym ukojenie, spokój i siostrzaną miłość. I wiem, że tylko pani to potrafi...

Krysia podniosła głowę i spotkała jasne, uczciwe spojrzenie jego szarych oczu.

— Zostanę — powiedziała cicho.

Pracowała od rana do nocy, niezmordowanie, bez spoczynku, jedyną radość czerpiąc z uśmiechów chorych. Za oknem jej pokoju złota jesień przeszła w szarugę, a potem w miękki, biały puch śnieżny. A jeszcze potem przyszła wiosna... Biedna duszyczka Krysi zgubiła się gdzieś w czarownych woniach rozkwitających kwiatów, w szeptach wieczornych i żabich chórach pod gwiaździstym niebem. Ogarnęła ją jakaś dziwna, niepokojąca, a słodka tęsknota.

Aż przyszedł jeden dzień wiosenny, cudny, rozświergotany radością ptaków. Doktór Żwir wybierał się jak co roku na inspekcję sanatoriów gruźliczych. Gdy Krysia weszła do jego pokoju stał pochylony nad mikroskopem. Nie podnosząc głowy poznał jej kroki, uśmiechnął się i wyciągnął do niej rękę.

— Panno Krysiu, proszę tu zajrzeć, zobaczy pani prątki gruźlicy.

Pod cieniutkim szkiełkiem nakrywkowym drgały i kurczyły się małe laseczki.

— Widzi pani jakie złe i złośliwe? Gospodarują sobie w ludzkich płucach jak we własnym domu. Niszczą miliony, miliony ludzi, nieraz tak bardzo potrzebnych. I dlatego trzeba z nimi walczyć, wyrwać je, zniszczyć, zdusić tę ohydną chorobę. Ale zrobimy to, musimy zrobić, bez względu na trudy i niebezpieczeństwo.

— A pan... czy pan nie boi się zarażenia gruźlicą? — spytała dziwnym, nieswoim głosem, bo nagle zrozumiała, że gdyby te straszliwe bakterie wżarły się w jego silne, męskie płuca, gdyby zabrakło jej tych szarych, poważnych oczu i pieszczotliwego uśmiechu, tego spokoju i bezpiecznej ufności, promieniującej z jego postaci — cały świat straciłby blask i barwę.

A on zapatrzył się przed siebie posmutniałym wzrokiem.

— Przecież ja jestem sam... zupełnie sam... Moja śmierć nie zaboli nikogo.

— Czy naprawdę nikogo...? — szepnęła cichutko.

Dawny, zapomniany blask rozpaśnił jej szafirowe oczy, a w jego źrenice wplątał się uśmiech szczęścia.

— Krysiu, czy to możliwe?

Ujął jej obie rączki ostrożnie, jakby nie chcąc spłoszyć budzącego się uczucia i wtulił twarz w małe, pracowite dłonie.

— Ja tak dawno już pragnę tego... tak dawno... Krysiu...

. . . . . . . . . . . . . .

Zmierzch wczesny, wiosenny, niby ogromny pająk rozsnuł swe sieci po kątach pokoju. Staruszka odwróciła zmęczony wzrok od okna. Już ich i tak nie widać, odjechali oboje, Krysia i jej mąż. Jej mąż... ale nie Adam... inny, obcy... Trudno, czyż można winić ją za to, że młodość i miłość pokonały wspomnienie? Ale ona, matka, tak jasno, tak wyraźnie jakby wczoraj pamięta jego ciemną głowę na swych kolanach i radosny, młody głos: Będziemy tacy szczęśliwi, mamo, we troje, ty, ona i ja.

Pochyliła się stara głowa.

— Synku mój, synku, dlaczego odszedłeś ode mnie...?

Jęk jakiś głuchy zaskowytał w jej piersi, ale nie płakała — stare oczy nie miały już łez... Wpatrzyła się w jeden punkt, gdzie w gęstym mroku wieczornym promień księżyca drgał za firanką. I wtedy... wtedy... Tak, to był on, jej Adaś... Z srebrzystej smugi wychylała się jego twarz, taka jasna, cicha, srebrem i uśmiechem przepojona.

— Wróciłeś... wróciłeś, Adasiu... — zaszlochały bezdźwięcznie drżące wargi.

A srebrny blask osunął się niżej po firance, otulił siwą głowę, biedne, spracowane ręce i jasną plamą legł u jej stóp. U stóp matki... Bo nie umiała zapomnieć...



# MĄDRY SZEJK

Wielce czcigodny szejk plemienia okolic podzwrotnikowych Bargrini miał święcić siedemdziesiątą piątą rocznicę swych urodzin.

Wszyscy bogatsi członkowie jego gminy w liczbie pięćdziesięciu, ubrani wyjątkowo w spodnie, z wypróżnionymi melonami na głowach, postanowili w ten dzień obdarować go pięknym upominkiem w postaci beczki wina. Każdy zobowiązał się zatem przynieść dwie flaszki najlepszego wina i wlać osobiście do wspólnej beczki.

W kilka godzin później zjawiła się u szejka deputacja i złożyła mu ten piękny podarunek z życzeniem zdrowia, szczęścia i życia aż do śmierci. Szejk nie posiadał się z radości.

Gdy wieczorem po skończonych uroczystościach mądry starzec pozostał sam ze swą fertyczną jeszcze wcale małżonką z ogromnym kolczykiem w nosie — kazał podać dwie szklanki i napełnił je własnoręcznie podarowanym winem. Ale cóż się okazało? W beczce była czysta woda... Szejk — jak przystało na mędrca — pokiwał tylko głową i powiedział jedno słowo: „imenem" — co znaczy mniej więcej „żeby ich diabli wzięli!" Zacna towarzyszka pielgrzymki życiowej z irytacji nie zmrużyła oka przez całą noc...

— Kobieto, ty nie potrzebujesz się tak gniewać — uspokajał chytry solenizant rozklekotaną kobiecinę. To było do przewidzenia! Ja znam swoich ludzi! Oto każdy z nich powiedział sobie, że jak 49-ciu innych przyniesie wino, to on może przynieść wodę i nawet wszystko wiedzący szejk na tym się nie wyzna. I tak się zrobiła cała beczka wody czyściutkiej jak kryształ. Ale ty poczekaj troszkę kochanie! Ja ci mówię, że w tej beczce będzie wkrótce pierwszorzędne wino.

W najbliższe święto plemienia zwołał szejk ofiarodawców wielce skonsternowanych, podziękował im jeszcze raz za piękny prezent i zakończył:

— Ale jest tu między wami jeden oszust — niech go ziemia pochłonie, który do waszego wina dolał dwie flaszki wody! Jest to świństwo ordynarne, ale ja to zaraz wykryłem i mógłbym tego nicponia tu na miejscu pokazać palcem! Ale ja wolę, żeby on się sam bez tego poprawił. Dzisiaj ma mi zaraz tu pod drzwiami postawić dwie flaszki najprzedniejszego wina, a grzech będzie mu darowany.

O północy wielce czcigodny możnowładca wstał i otworzył drzwi. I znalazł 100 flaszek cudnego wina. Zwrócił się do żony z zadowoloną miną i powiedział tylko jedno słowo:

— Nu?

A murzynka na to:

— Uj, ty jesteś prawdziwy cudotwórca!

W.

# RADOŚĆ I CIERPIENIE

Ali Hussein przekroczył próg domu kupca Abdula Maschar'a ze strapioną miną.

— Dlaczego masz tak smutną twarz? — pyta.

— Ach Abdulu — westchnął Ali, — ponieważ radość i cierpienie tak nierówno są na świecie rozdzielone. Każdy dzień, który darowuje nam Allach daje nam więcej złych aniżeli dobrych chwil życia. Skąd to pochodzi?

Wiem to doskonale — odpowiedział tłusty kupiec, zapraszając Alego Hussein na dywan celen zapalenia wodnej fajki. — Pewnego razu czytałem stare pismo w którym zawarte było to, co dla ciebie stanowi zagadkę

Allach każdej nocy — podczas gdy my śpimy — wypróżnia dwa wielkie wory ponad siołami ludzkimi. W jednym worze znajdują się nasienne ziarna radości, w drugim ziarna cierpienia. Zdarza się często, że nasienie pada na twardy, albo kamienisty grunt i tylko cierpienie, które jak zielsko potrafi znieść przeciwności, może się przyjąć. Są i inne miejsca, gdzie tylko radość się rozwija, i przynosi najpiękniejsze owoce. I — tak kończy stare pismo — jak nie ma na ziemi jednego kawałeczka, gdzieby wśród najgęstszego zielska nie rosła pożyteczna roślina, tak nie istnieje cierpienie, które by nie łagodziła choć mała radość...

Ali Hussein tak słuchał uważnie, że zapomniał pociągać z fajki.

— Jeżeli to objaśnienie jest słuszne, Abdulu, — rozpoczął szybko, — to twój dom musi stać na wyjątkowo kamienistym gruncie.

— Jak wpadłeś na taką myśl? — zapytał kupiec.

— Więc posłuchaj wiadomości, z którą właściwie tu przyszedłem: Twoją karawanę w czasie ostatniej podróży napadli zbójcy i zupełnie zrabowali!

— Co za nieszczęście! — jęknął kupiec.

— A wielbłądy?

— Złoczyńcy w części je zabili, w części uprowadzili.

— Jestem zrujnowanym człowiekiem! — skarżył się Abdul Maschar.

— To jeszcze nie wszystko. Twoja żona, która jeszcze przed tobą usłyszała o tym nieszczęściu uciekła z twoim przyjacielem Omarem!

Wtedy rozjaśniło się oblicze kupca.

— O Allach bądź błogosławiony! — zawołał. — Widzisz Ali Hussein, jak ma słuszność stare pismo. Nie ma cierpienia, w którym nie byłoby choć ziarnka radości!

I wziął Abdul Maschar filiżankę z mokką i fajkę wodną i myślał o nowych interesach, aby powetować straty...

Tłum. A. G.

### Drzewa miedziane

O kopalniach miedzi słyszał każdy, ale nie wszyscy może wiedzą o **miedzianych drzewach**, nie dlatego tak nazwanych, by przypominały barwą liści czy kory ów kruszec, ale faktycznie zawierających w sobie **miedź**!

Rewelacją tą obdarzono świat jeszcze pod koniec ubiegłego wieku koło roku 1870, ale nie próbowano wówczas jeszcze wyosobnić miedzi z tkanek drzew, zadawalając się samym stwierdzeniem faktu, iż na terenach górniczych kopalń miedzianych w Hiszpanii rosną drzewa kryjące w swym wnętrzu miedzianą rudę.

Lata minęły od tego odkrycia a nowoczesna chemia pokusiła się o wyeksploatowanie dla doświadczenia już nawet choćby małej ilości drzewo-miedzi.

I eksperyment udał się.

Z wydobytej po spaleniu drzewa na popiół miedzi sporządzono stop, dokumentujący zwycięstwo wiedzy nad tajnikami i dziwami natury. Mineralogia podała dłoń botanice: okazała się możliwość pracy syntetycznej w przyrodzie. Ze składników gleby, powstał organizm żywy.

Człowiek pracuje tymczasem odwrotnie: analitycznie. Tak bowiem wyosobniono metal z drzewa.

Najpierw wystawia się w zamkniętym naczyniu pień drzewa miedzianego na działanie ognia.

Z naczynia wychodzą znane produkty suchej destylacji, zostaje zaś węgiel dalej sucho destylowany aż do zupełnego spopielenia. Z tych to popiołów wydobyto miedź.

Oto odwieczna karta historii życia: ciągły szereg składania i rozkładania, budowania i niszczenia, ciągła przemiana siły i materii bez ich najmniejszej utraty.

Warto tu wspomnieć jeszcze o nader ciekawych badaniach chleba na zawartość miedzi, przeprowadzonych przez Sarzeau'a w r. 1858. Z nich wynika, że na 20 000 000 kg chleba spożytego na dobę, bywa około 6 kg miedzi, czyli wypada na 30 000 000 mieszkańców w jednym roku 4015 kg zjedzonej rudy miedzianej.

Smacznego!

### Najzwięźlejszy kodeks cywilno-karny świata

Przyzwyczailiśmy się z dawien dawna uważać studia prawnicze za przedmiot mało zajmujący i „suchy".

Formułki jurydyczne i artykuły orzecznictwa prawnego bez targu można nazwać faktycznie nudną rzeczą, by atoli same w sobie nie były tu i tam ciekawe, można przy tym obstawać.

Zwykło powtarzać się frazes w rodzaju „bezduszne prawo", „martwa litera prawa" — a tymczasem, tak szczerze mówiąc, tylko podstawy prawa jako ludzkiego stosunku do pewnych konkretnych zakazów natury obyczajowo-społecznej są stałe i niewzruszalne, bo uświęcone tradycją doświadczeń ludzkości w długim pochodzie wieków.

Zmienia się świat, zmieniają poglądy i zapatrywania na niejedną kwestię, zmienia się więc i prawo w zakresie sądzenia postępków danej epoki i klasyfikowania słabostek czy wykroczeń natury człowieczej, działającej świadomie przeciw ogólnemu dobru i przyjętemu przez cywilizację porządkowi.

Co dawnymi wieki karano stosem i wygnaniem, dzisiaj karze się domem poprawczym, miejscem odosobnienia lub więzieniem, zawsze starając się wyświetlić pobudki i motywy działania, wpływające na sam inkryminowany czyn.

Zapewne zupełna premedytacja w czynie hańbiącym lub zbrodniczym podlegała zawsze i podlega wszędzie najsurowszej karze. Pojęcie winy i kary ma bowiem cała ludzkość, na jakimkolwiek stała czy stoi stopniu ukulturalnienia.

Że zaś czasami i prawo dawało powody do naprawdę wesołych refleksyj, to znowu kwestia czasu i zmienionych form życia lub specyficzne stosunki danego kraju czy okresu.

Średniowieczne sądy Boże jakże osobliwymi dzisiaj wydają nam się kuriosami!

Starodawne „kamieniowanie" jak bardzo wielkim jest dla nas dziś bestialstwem.

Rewolucyjna gilotyna cóż za ohydne narzędzie masowego mordu!

Wyroki sądów kapturowych rozmaitych epok dreszczem grozy nas przejmują...

A samo brzmienie paragrafów prawnych sprzed dawnych lat — jakiż niekiedy komizm dla nas, dzisiejszych, zawiera!

By zaś jakieś prawo mogło być już zwięzłe, w to wątpimy prawdopodobnie wszyscy.

Boć co to tomów wkładają w mózgownice studiujący prawnicy! Co skryptów, foliałów, wypisów różnych!

Dla udowodnienia więc, że i prawo może być zwięzłe, powiemy coś niecoś o jedynym w swoim rodzaju kodeksie cywilno-karnym, wydrukowanym w r. 1875-tym, najkrótszym na świecie, bo liczącym aż (!) jeden arkusz, czyli 16 stron w ósemce.

Ustawa, nakazująca publikację i rozpowszechnienie tego kodeksu powiadała, że „drukowany jest w tylu egzemplarzach, by każdy obywatel mógł go mieć i czytać lub dać sobie przeczytać, jeżeli sam tego nie umie".

Kodeks ów wydano we wspomnianym roku w Czarnogórze.

Charakerystyczne i jednocześnie zabawne są niektóre postanowienia, np. względem obrony kraju. Oto ich brzemienie:

„Jeżeliby znalazł się gdzie tchórz, należy mu odebrać wszelką broń, której już całe życie nosić mu nie wolno, nikt go też szanować nie ma.

Zarazem należy takiemu przypasać fartuch babski, by lud wszystek widział, że niemęskiego ów serca".

Co do obrony własnej, dozwolona była w obszernej mierze.

Odnośny artykuł powiadał:

„Kto obywatela kopnie lub cybuchem(!) uderzy, płaci kary dukatów 50 za wyrządzoną mu zniewagę.

Uderzony, gdy w chwili gniewu napastnika zabije, tedy jest od wszelkiej odpowiedzialności uwolniony, jako i ten, co złodzieja na gorącym uczynku przychwyconego uśmierci."

Ciekawe jest zapatrywanie prawa czarnogórskiego na sprawę dania honorowej satysfakcji. Oto osnowa paragrafu w tym względzie:

„Pojedynki są dozwolone — ale bez świadków. Rozgłosu o nich dawać nie należy, boć winien tego karze ulegnąć musi."

Kwestia wykradania dziewcząt z domu rodzicielskiego ujęta jest w omawianym kodeksie również bardzo rzeczowo:

„Jeżeli dziewczę z dobrej woli ujdzie za młodzieńcem bez wiedzy rodziców, natenczas obojgu nic zrobić nie wolno, albowiem połączyła ich miłość."

Drażliwa sprawa wiarołomstwa i cudzołóstwa postawiona jest niemniej wyraźnie:

„Zdarzy się, że żona niewierną się stanie, a na przeniewierzeniu się napotkana będzie. Wolno tedy oną lub i obie strony zabić; gdy zaś kobieta taka uciecze, nigdy już w kraju pokazać się nie ma."

Obok tedy całego szeregu drakonizmów krył sobie ciekawy ten kodeks czarnogórski wiele swoistego humoru.

Kto, według nauki Chrystusa, powiedział bliźniemu „raka" czyli głupcze, winien był ognia piekielnego.

Kto zaś według kodeksu czarnogórskiego z 1875 r. poczęstował ziomka kopniakiem lub dał mu przez łeb cybuchem, winien był paść trupem!

O, jakże czasy zmieniają się...

Stef-Kra

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 353-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 220-61 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

# KĄCIK SZACHOWY NR 18

## CZĘŚĆ ELEMENTARNA

**Gambit centralny w obronie**
**Wariant II, obrona C.**

1. e2—e4 e7—e5
2. Sg1—f3 d7—d5
3. e4×d5 e5—e4
4. Hd1—e2 Hd8—e7 [1])
5. Sf3—d4 He7—e5 [2])
6. Sd4—b5 Gf8—d6
7. d2—d4 He5—e7
8. c2—c4 Gd6—b4
9. Gc1—d2 Gb4×d2
10. Sb1×d2 a7—a6
11. Sb5—c3 f7—f5
12. 0—0—0 Sg8—f6
13. Wd1—e1 0—0—
14. f2—f3 [3]) z przewagą białych.

**Morphy — Mongredien (Paryż 1859)**

[1]) 4... G—e7 byłoby niepoprawną ofiarą piona i prowadziłoby po: 5. H×e4 S—f6 6. H—a4 (można też grać 6. G—b5, jak w partii Morphy—Paulsen) 6... Sb—d7 7. d4 0—0 8. G—d3 S—b6 9. H—b3 Sb×d5 10. c3 G—d6 11. O—O G—g4 12. S—e5 G—e6 13. H—d1 G×e5 14. d×e5 S—g4 15. h3 do przewagi białych Kieninger—Richter (t Pyrmont 1933).

4... S—f6 5. S—c3 G— e7 6. S×e4 S×e4 (w razie 6... S×d5 7. S—c3 S—b6 8. d3 miałyby białe piona plus i utrzymałyby go bez trudu Euwe. Th. d. schaakop.) 7. H×e4 Sb—d7? (należało grać 7... 0—0!) 8. G—b5 0—0 9. G×d7 G×d7 10. 0—0 G—d6 11. d4 W—e8 12. H—d3 h6 13. G—d2 G—d4 14. c3 H—f6 15. Wf—e1 z przewagą białych. Marienwerder — Gdańsk (p. koresp. 1934).

4... S—f6 5. H—b5? c6 6. d×c6 b×c6 7. H—e5 G—e7 8. S—g5 Sb—d7 9. H—f4 0—0 10. S×e4 S—d5 11. H—f3 Wf—e8 12. d3 S—e5 13. H—g3? G—b4 14. G—g5 G×g5 15. H×g5 H×g5 16. S×g5 S—f3 17. K—d1 W—e1 mat Kozelen—Eliskases (t. koresp. Wiener Schztg 1932).

4... S—f6 5. d3 G—b4 6. c3 0—0 7. d×e4 G—c5 8. G—g5 W—e8 9. Sb—d2 Sb—d7 10. G×f6 S×f6 11. H—c4 b6 12. G—e2 a5 13. b4 a×b4 14. c×b4 z przewagą białych Hess—Richter (t. m. Sztutgart 1939)

4... f5 5. d3 G—b4 (5... H×d5 6. Sb—d2 S—f6 7. S—g5) 6. c3 G—e7 7. d×e4 f×e4 8. H×e4 S—f6 9. G—b5 G—d7 10. H—e2 S×d5 11. G—c4 c6 12. G—g5 G—g4 13. Sb—d2 Sb—d7 14. 0—0 S—b6 15. Wf—e1 z przewagą białych Morphy—Paulsen (t. Nowy Jork 1857)

[2]) Lub 5... S—f6 6. S—c3 H—e5 7. S—f3 H—e7 8. S—g5 G—f5 9. H—b5 z przewagą białych.

[3]) Dalszy przebieg partii był następujący: 14... b5 15. f×e4 f×e4 16. Sd×e4 b×c4 17. H×c4 K—h8 18. G—d3 G—b7 19. S×f6 H×f6 20. Wh—f1 H—d8 21. W×f8 H×f8 22. H—b4! i białe wygrały.

## CZĘŚĆ OGÓLNA

**Studium Nr. 8.**
L. van Vliet (BChM 1934)
Czarne: Ka6, Hc6 (2).
Białe: Ka8, Hb1, pion: b7 (3).
Białe zaczynają i wygrywają.

**Rozwiązanie problemu Nr. 7 (3-chod. Mgra Arłamowskiego): 1. H—b3!**

I. 1... G—b8 2. H—b4 i 3. ×
II. 1... G—b6 2. S—d6 i 3. ×
III. 1...G—c5 2. S—d8 i 3. ×
IV. 1... S—h7 2. S—a5 i 3. ×
V. 1... S—f3 2. S—e6+ i 3. ×
VI. 1... W—b1 2. H—e2 i 3. ×
VII. 1... inacz. 2. S—d8 i 3. ×

**Partia Nr. 24**

Białe: Lilienthal — Czarne: Botwinnik
grana w r. 1940.
Obrona indyjska.

1. d2—d4 Sg8—f6
2. c2—c4 e7—e6
3. Sg1—f3 b7—b6
4. g2—g3[1]) Gc8—b7
5. Sf1—g2 Sf8—e7
6. 0—0 0—0
7. Sb1—c3[3]) Sf—e4[4])
8. Hd1—c2[5]) Se4×c3
9. Hc2×c3[6]) d7—d6[7])
10. Hc3—c2[8]) f7—f5
11. Sf3—e1 Sb8—c6?[9])
12. d4—d5 e6+d5
13. c4×d5 Sc6—b4
14. Hc2—d2! a7—a5[10])
15. a2—a3 Sb4—a6
16. b2—b4! Ge7—f6
17. Gc1—b2 Hd8—d7
18. Gb2×f6 Wf8×f6
19. Se1—d3[11]) a5—a4[12])
20. Wa1—c1 Hd7—f7
21. Sd3—f4 Gb7—c8
22. Wc1—c3 Gc8—d7
23. Wf1—c1 h7—h6
24. h2—h4! Wa8—a7[13])
26. Wc3—e3 Kg8—h7
27. Wc1—c3 Wa8—b8
28. Hd2—d3 Wb8—a8
29. Sf4—g6 Wf6×g6[14])
30. h5×g6+ Kh7×g6
31. We3—e6+[15]) Kg6—h7
32. g3—g4 c7—c5
33. b4—b5 Sa6—c7
34. g4×f5 Sc7×b5
35. f5—f6+ Kh7—g8
36. Wc3—c4! Wa8—e8
37. Wc4—g4 g7—g5
38. We6×e8+ Gd7×e8
39. Wg4—e4 Kg8—f8
40. We4—e7! Hf7—g6
41. Gg2—e4 Hg6—h5
42. Ge4—f3 Hh5—g6
43. We7×e8+ Czarne poddały się.

[1]) Jest to najwięcej używany sposób zwalczania wariantu hetmańskiego obrony indyjskiej. Białe nie wywierają na razie żadnego nacisku na e4, lecz wybierają takie rozstawienie figur, które by zmniejszało aktywność gońca b7. Walka o pole e4 rozegra się później. Szanse białych osiągnięcia przewagi w tej walce nie są wielkie.

[2]) 4 . . . c5 jest słabszym i prowadzi po 5. G—g2 G—b7 6. d5 do innego odgałęzienia gry. Tak rozpoczęto np. partie Capablanca—Marshall, Karlsbad 1929, Vajda—Monticelli, Budapeszt 1926 i Rabinowicz—Torre, Moskwa 1925. Nie tak dobrą odpowiedzią byłoby w tym wariancie (zamiast 6. d5) 6. 0—0 c×d4 7. S×d4 G×g2 8. K×g2 d5 9. H—a4 H—d7 10. S—b5 S—c6 11. c×d5 e×d5 12. G—f4 W—c8 13. W—c1 jak w partii Capablanca—Aljechin, III p. pojed. 1927 i teraz mogły uzyskać czarne wyrównanie przez 13 . . . S—e4! 14. S—c7 W×c7 15. G×c7 S—c5! 16. H—f4 S—e6 17. H—a4 S—c5 i remis, o ile białe nie zdecydują się oddać jakość 18. W×c5.

Tak samo 6. d×c5 jest słabszym z powodu b×c5! Ruben—Sultan—Chan, Hamburg 1930 Olimpiada.

Po 4 . . . c5 5. d5 prowadzi do trudniojszej gry np.: e×d5 6. c×d5 G—b7 7. S—c3 b5 8. G—g5 a6 lub 5 . . . b5 6. d×e6 f×e6 7. c×b5 d5 w obu wypadkach zeszłaby gra na tory gambitu Blumenfelda.

[3]) Naturalne kontynuowanie. Białe zamierzają grać 8. H—c2 i 9. e4.

[4]) Najlepszy ruch w tej pozycji.

[5]) Można też grać 8. S×e4 G×e4 9. G—f4 d6 10. H—d2 S—d7 11. Wf—d1 jak w partii Rubinstein—Samisch, Marienbad 1925.

[6]) 9. S—g5? byłoby błędnym z powodu S×e2! 9. b×c3 stanowiłoby duże osłabienie pozycji pionów, jak się to okazało w partii Reti—Sämisch, Wrocław 1925.

[7]) Najkonsekwentniejszym ruchem jest 9 . . . f5 10. G—e3 G—f6 11. H—d2 d6 12. d5 e5 13. S—g5 G×g5 14. G×g5 H—e8 15. e4 f×e4 16. Wa—e1 S—d7 17. W×e4 H—g6 18. W—h4 S—f6! z równą grą Aljechin—Botwinnik, Avro 1938 i jeśli teraz 19. G×f6? to g×f6 20. G—e4 f5!

Euwe uważa 9 . . . G—e4 za lepsze, niż 9 . . . d6 i za prawdopodobnie równowartościowe z 9 . . . f5.

W XIII partii pojed. Euwe—Keres, 1941 nastąpiło : 9 . . . G—e4 10. S—e1 G×g2 11. S×g2 c6! z mniej więcej równymi szansami, gdyż po 12. e4 moga odpowiedzieć czarne d5!

Inna rzecz, że na 9 . . . G—e4 wchodziło w rachubę 10. G—f4 np. d6 11. H—d2 z przejściem do gry wymienionej w uwadze [5]).

[8]) Ten ruch hetmanem jost najlepszy na 9 . . . d6, podczas gdy w razie 9 . . . f5 nastąpiłoby 10 . . . G—e4!

[9]) Najlepiej było grać 11 . . . H—c8, jak w IX partii pojed. Euwe—Keres, 1941.

Nieco słabszym jest 11 . . . G×g2 12. S×g2 c6 13. e4!, jak w partii ljechin—Keres, Buenos Aires 1939 Olimpiada. Białe uzyskały korzystną grę.

[10]) Czarne powinny były grać 14 . . . c5 i zadowolić się izolowaniem piona d. Teraz czarny skoczek zostaje zepchniętym na a6 i pozostaje przez długi czas poza grą.

[11]) Nie 19. b×a S—c5!

[12]) Na 19 . . . a×b 20. a×b H—b5 jest moliwym 21. W—a3 po czym Wf—a1, a nawet 21. S—f4!

Lilienthal podaje piękny wariant: 21. S—f4 H×b4 22. H×b4 S+b4 23. W×a8 G×a8 24. W—a1 W—f8 25. W—a4 c5 26. d×c S×c6 27. G—d5+K—h8 28. S—g6+h×g6 29. W—h4 mat.

[13]) Czarne nie mogą przodsięwziąć niczego. Białe wzmacniają z całym spokojem swoją pozycję, przede wszystkim pozycję S—f4.

[14]) Musowe. Groziło 30. W—e7.

[15]) Dobrym było te 31. g4 z uproszczeniem.

# ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE



*— Nie należy spełniać każdego kaprysu dziecka.*
Münchner Illustrierte Presse

— Z przykrością dowiedziałem się — mówi buchalter — że pański wspólnik umarł. Czy mógłbym zająć jego miejsce?
— No — odpowiada na to szef sklepu — to w takim razie powinien pan tę sprawę omówić z zarządem cmentarza, czy coś takiego jest możliwe.

*

— Nie rozumiem, po co targowałeś się tak długo z krawcem o garnitur. Przecież tak czy inaczej, nie zapłacisz mu wcale.
— Człowieku, ja mam przecież sumienie, jeżeli ten biedak ma już stracić na mnie, niechże strata będzie jak najmniejszą.



*— O, Jakubie, taką mieć szyję i wtedy dopiero chlać wódkę...*
Die Grüne Post

— Nie znoszę kobiet uczonych.
— Mnie to pan mówi? Ja przecież też skończyłam wyższe studia.
— Taaak? To jest właściwie. Ale na pani to nic a nic tego nie znać.

*

— . . . a tak niewiele brakowało, by został uczciwym człowiekiem.
— Brakowało mu 10.000 rocznego dochodu.



*— Jak widzę, pan nie ma szczęścia.*
*— A czyż dużo ryb bywa tutaj zwykle?*
*— Dokładnie nie wiem, gdyż wczoraj jeszcze tej kałuży tu nie było.*
Das Illustrierte Blatt

— Chciałbym mieć wąsy — mówi ośmioletni Tadzio.
— Dlaczego?
— A no wiedziałbym przynajmniej co jestem: chłopiec czy dziewczynka.
— A teraz to nie wiesz?
— Tego nawet mama nie wie. Zawsze mi mówi: „Dziecko, dziecko, ja nie wiem co z ciebie wyrośnie?!"

*

— Spacerujesz doktorze? Widocznie mało chorych.
— Tak zabijam czas w braku czegoś innego.



*Urzędnik jeżdżący codziennie tramwajem na letnisko.*
Die Woche



*Służbista: — Daremnie pan stoi w okienku... jest już po godzinach służbowych, szkoda gadać już nic panu nie załatwię!*
Rys. Żukowski

— Zerwałam z Karolem, a on żąda, żebym mu wszystkie jego prezenta oddała.
— To mu je oddaj.
— Czy ja tam teraz pamiętam, które są od niego.

*

— Jakże twój mąż, moja droga?
— O! Bardzo nieśmiały. Już dwa lata jak jesteśmy po ślubie, a wciąż jeszcze nie ma odwagi wejść ze mną do sklepu z konfekcją damską.



*Pan młody: — Nie martw się Anno, mój ojciec także nie był duży — ale zato bardzo pilny!...*
Koralle

Na lewo: W wielkim zakładzie chemicznym, hodującym pszczoły dla celów leczniczych, specjalnie wyszkolone pracownice otoczone przez roje brzęczących „wychowanków" wybierają pincetkami najlepsze okazy.



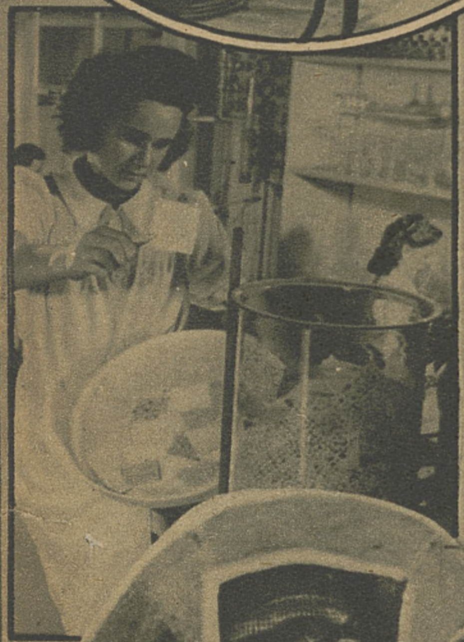








Powyżej: Że miód pszczeli jest smakołykiem i lekarstwem, to wszyscy dobrze wiemy. Na określenie czegoś dobrego wystarczy powiedzieć: „sam miód!" Jak jest coś słodkiego, mówimy: słodki jak miód. Piękne słowa „płyną z ust jak miód". Bogactwo kraju określamy: kraj mlekiem i miodem płynący. — Miód jest więc w przysłowiach synonimem czegoś dobrego. Ale i róża ma kolce. I do miodu można się dostać dopiero przez żądła pszczół. Wystrzegamy się pszczół i ich żądeł jak węża. A tymczasem i żądło pszczoły posiada własności lecznicze. Jad pszczeli przerabia się na maść lub w postaci płynnej zamyka w ampułkach, które stosuje się jako zastrzyki w cierpieniach reumatycznych. Na lewo: Laborantki po pracy. Poniżej: Laborantki w pełnym rynsztunku. Tak przystępują do pracy, bezpieczne przed ukąszeniem pszczoły.



Powyżej w kole: Jad pszczeli poddaje się zagęszczeniu w retortach. Końcowym rezultatem tego procesu chemicznego jest biały proszek, skondensowany jad pszczeli. — Na lewo: Na specjalnych płytkach składają pszczoły swój jad. Płytki zebrane w laboratorium poddaje się procesowi chemicznego absorbowania, czyli „wyciągania" jadu z płytek.

Fot: Eurofot.

Na lewo w kole: Pszczoła uchwycona pincetką przez pracownicę składa na wysterylizowanej podstawce swój jad, poczem ginie. Aby nie dopuścić do wymarcia pszczelnego pnia, chwyta się tylko pewną część pszczół.



# Serum z ula